

ELIZA

ORZESZKOWA

SILNY SAMSON

Eliza Orzeszkowa

Silny Samson

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Silny Samson / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Nowela, w której Eliza Orzeszkowa rozprawia się ze stereotypem Żyda, a dzięki sprytnym zabiegom jego pozorne wady przedstawia jako zalety. Samson, wbrew temu stereotypowi, nie ma pojęcia o biznesie i wielkich pieniądzach. Pochodzi z ubogiej rodziny, ale udało mu się osiągnąć wiele dzięki temu, że przywiązywał dużą wagę do swojej edukacji i wciąż zdobywał wiedzę na temat religii i tradycji żydowskich. Stał się uczonym teologiem i metafizykiem, czym zdobył szacunek i uznanie ludzi. Samson wraz z rodziną wiecie szczęśliwe życie, ale jego wykształcenie nie pozwala na to, by dobrze zarabiać. Na szczęście towarzyszy mu przedsiębiorcza żona, która swoim zachowaniem potwierdza, że kobiety mogą na równi z mężczyznami troszczyć się o majątek rodziny, i dba o dobre imię męża. Bohater wydaje się być oderwany od rzeczywistości, ale czy tak jest naprawdę? Aby dowiedzieć się, w czym tkwi siła Samsona, przeczytajcie nowelę Elizy Orzeszkowej.

Eliza Orzeszkowa

Silny Samson

Jeżeli kiedykolwiek zechcesz czytelniku znaleźć w mowie ludzkiej jednoznacznik wyrazu: **żyd**, weź dykcyonaryusz historyczny, szukaj pod literą **k**, a gdy znajdziesz imię: **Krezus**, podkreśl je i zapamiętaj, albowiem posiadasz już wiedzę, której żądałeś. Synonimem żyda jest: **Krezus**.

Żyd i Krezus, to zupełnie wszystko jedno. Każdy przecież wie, że pomiędzy żydami są Rotszyldowie przedewszystkiē, a następnie tēż i inni bankierowie, posiadający nie wiem już jaką ilość milionów i pałace, pełne złocēń, rzeźb, kobierców, zwierciadeł i t. p. Ztąd wniosek prosty, jak dwa a dwa cztery, że plemię, wydające z siebie Rotszyldów i owych innych bankierów, jest bardzo bogate, i caluteńkie opływa w miliony, pałace, złocenia, rzeźby, zwierciadła i t. d., a jeżeli którykolwiek z synów plemienia tego nie opływa w to wszystko, to dlatego tylko, że sam nie chce, bo obyć się może byle czē; gdyby jednak chciał, opływał-by z pewnością.

Bogate plemię! szczęśliwe tedy plemię! Uznaję w zupełności to szczęście jego, i temu tylko dziwię się, dlaczego Szymzel, syn Gerszuna, a mąż Cipy, nic a nic o bogactwie tēm i wynikającym z niego szczęściu nie wie. Widząc tę zupełną nieświadomość Szymzela, myślałam z razu, że udaje on, kryje się ku lepszemu wyprowadzeniu w pole gojów, pomiędzy którymi wybrał już sobie z pewnością Meropią jakąś, czyli ofiarę, na wyzyskiwanie przez zarząd kahalny skazaną i sprzedaną, o których-to **Meropiach**, czyli ofiarach, tyle u nas mowy było w ostatnich czasach. Po bliższē jednak przypatrzeniu się, z najgłębszēm zdziwieniem mēm przekonałam się dowodnie, że Szymzel w istocie i najszczerzēj **Meropii** żadnej nie posiada, a o bogactwie i wszelkich szczęśliwościach, których ono źródłem jest, nic wcale nie wie. Co się tycze złocēń, rzeźb i zwierciadeł, wąpię nawet, czy Szymzel widział je kiedykolwiek w życiu swoim, chyba, że zwierciadłem nazwiemy lusterko, mające ćwierć łokcia długości, które w drewnianych ramkach, bez śladu złocēń ni rzeźb, wisi nad kuferekiem Cipy, a ku któremu sześćioletnia Esterka, dziecic Szymzela, wspina się po kilka razy dziennie, w celu zapewne zobaczenia ognistych kędziorków swych, błękitnych oczu, śmiejących się do lusterka, i bladēj twarzy ojca, który uśmiecha się, patrząc na lusterko i na nią.

O innych więc zwierciadłach, nad to w którym odbija się zawsze kawałek brudnej ściany, a czasem figlarny nosk Esterki, Szymzel nic a nic nie wie, tak jak zresztą nie wie o mnōztwie zjawisk i rzeczy, choćby dośc pospolicie istniejących na tēj ziemi, albowiem wyznać to muszē z wielkim wstydem, uczuwanym za tę postać obrazka mego – zakres rzeczy i zjawisk, znany Szymzelowi, jest niezmiernie ciasnym, jakkolwiek zresztą z nieświadomości tēj rzeczy ziemskich, sprawiedliwością rządząc się, wyłączyć należy izbę, mającą dziesięć stóp długości a pięć szerokości, którą Szymzel zna dokładnie i we wszystkich jēj szczegōłach, raz dla tego, że mięszka w niēj od lat dwunastu, następnie, iż niēma w niēj nic do poznawania, prócz dwóch łōzek, piētrzących się pościelą burakowēj barwy, ogromnego pieca z czarnym jak otchłań otworem, wiecznie przy piecu suszących się szmat odzieży, okienka w spróchniałych ramach, stołu pod okienkiem, stołków trzech, kota jednego i piēciorga dzieci.

Te ostatnie szczegōlniej Szymzel zna dobrze, bo bardzo je kocha. Jakże-by ich zresztą mógł nie kochać, skoro są to wszystko dzieci zupełnie niepospolite, piękne na podziw, rozumne nad wiek, a dobre!... no, co tu już o tēm gadać!... Gada jednak o tēm długo i czēsto Cipa, a Szymzel nie przeczy jēj bynajmniej. Owszem, czuje on sam gęboko całą niepospolitość dzieci swych, i cieszy się nią nie mniej od Cipy, choć w milczeniu, tworzącēm sprzeczność z wymownością ich matki. Każde z dzieci sprawia mu tak wielkie, a coraz nowe pociechy! Esterka naprzykład iskrą jest, nie dzieckiem. Trzewiczki nosi ona tylko w sobotę, i to jakie! żal się Boże! wybrane z kosza starēj lachmaniarki, znoszone już przez bogate dzieci jakieś, czasem ałtasowe, albo z cieniutkiēj, safianowēj skōreczki, czasem błękitne albo ponsowe, ale podarte bardzo, i sznurkami, zamiast tasiemek, zwiāzywane. Ale w trzewiczkach tych, lub bez nich, drobne jēj nōżki drepcą po izbie, wskakują na matczyne kuferek,

skaczą po kamieniach, okrywających podwórko, a czasem zwieszają się na płocie, odgradzającym podwórko od sąsiedniego domowstwa, w ten sposób, że wydaje się, jak gdyby były tam bez swęj właścicielki; wyższa bowiem połowa ciała Esterki zwisa ku dołowi z jednej strony płotu, a niższa z drugiej. Włosy jój, rozczochrane zawsze do ostatnich granic, wyglądają jak zwikłane z sobą kręte płočky, a są tak wielkie, że mała okrągła, twarzyczka jój, z kolorowym punkciem w miejscu ust, wydaje się pośród nich zupełnie malutką. Taką jest Esterka, trzecie z rzędu dziecko Szymusza.

Doskonale dobraną z nią parę tworzy brat jój, młodszy o rok, **Mendele**, którego jedynymi indywidualnymi cechami zdają się być dotąd: spencerek z różowego płócienka i wiecznie z za niego wymykające się, a ku ziemi zwisające, białe tasiemki, na które-to tasiemki wciąż następując, Mendele, często pada i przeraźliwym krzykiem rozdziera nawskroś tę malutką ilość powietrza, która napełnia izbę i ciasne podwórko. Że jednak na krzyk ten nikt a nikt najmniejszej uwagi nie zwraca, trwa on zazwyczaj krótko. Mendele samodzielnie powstaje z upadku, poprawia malutką jarmułkę na włosach, tak jak u siostry, ognistych i ogromnych, i w towarzystwie Esterki rozpoczyna na nowo po płotach, stosach śmiecia i różnych kołyszących się deskach, najrozmaitsze akrobatyczne ćwiczenia, na które Szymusz spogląda przez okno z cichym uśmiechem głębokiej radości. Mendele zresztą skończy już, niestety! wkrótce tę, najpiękniejszą zapewne w życiu swém, epokę bezgranicznej swobody i niezmaconej wesołości; za parę miesięcy bowiem, będzie on już miał lat pięć, zmuszonym więc zostanie rozpocząć prawidłowo prowadzone kursa naukowe. I tak już z rozpoczęciem ich spóźnił się znacznie. Przed rokiem, coś około czwartej rocznicy urodzin jego, była już mowa pomiędzy nim a rodzicami o posyłaniu go do **Hederu**. Podówczas przecież Mendele, na uczynione mu w tej mierze przedstawienie, w żaden sposób zgodzić się nie chciał. Nie chciał iść do **hederu** – i koniec. Schwycił się obu piąstkami za spodnicę matczyną, przysiadł, stopami wparł się w ziemię, wrzasnął ogromnie, strumień łez z błękitnych oczu na rumiane policzki wypuścił – i nie poszedł! Cipa gniewała się zrazu i martwiła wstrętem tym, okazanym przez czteroletniego syna do nauki, i przedstawiciela jój *Mełameda*, o długiej brodzie, plecach przygarbionych i ponurém wejrzaniu. Pocieszył ją jednak mąż, mówiąc:

– Kiedy ja byłem w jego wieku, ja po ulicach jeszcze biegałem i bawiłem się... jednak, ot do czego później doszedłem... dojdzie i on kiedyś, a tymczasem niech jeszcze trochę podrośnie!

Starszy za to syn Szymusza, dziewięcioletni Enoch, od pięciu już lat uczęszcza do **hederu**, umieć wybornie czytać po hebrajsku, biegły jest w znajomości *Humeszu*, czyli Mojżeszowego Pięcioksięgu, a od roku wstąpił już nawet na szczebel wyższej całkiem nauki, rozpoczynając studia nad Talmudem i komentarzem **Rasze**. Niezwykle to postępy! Cóż, kiedy czarne oczy wysmukłego dziecka rozwarły się też niezwykle szeroko i, niezwykle głęboko zapadłe, świecą wśród ściągłej, bladłej twarzy, blaskiem gorącym i tak jakoś smutnym, jakby się ciągle na coś skarżyły. Skarżył bo się też z razu mały Enoch na srogość *mełameda* swego, pokazując uszy swe, tak zaczerwienione od częstego ich targania, że świeciły jako rubiny w gęstwi czarnych włosów. Cichutko mówił też matce, że bołą go plecy i głowa: piérwsze od uderzeń *mełamedowej* pięści, druga od nadzwyczajnej ilości wiedzy, gromadzącej się w nazbyt małej stosunkowo przestrzeni dziecięcego mózgu. Skargi te Enocha, nie otrzymując przecież żadnego pocieszającego rezultatu, ustały wkrótce.

Mełamed, nauczający Enocha, najtańszym był ze wszystkich Mełamedów, istniejących w mieście Ongrodzie, pomimo zaś, że wśród narodu żydowskiego istnieją Rotszyldowie i inni owi bardzo bogaci bankierowi, Szymusz i Cipa nie byli w możności opłacać Mełameda takiego, któryby z większą łagodnością charakteru i oglądą obyczajów łączył też i większe wymagania. Enoch tedy, pomimo, że uczy się dobrze i umieć bardzo wiele, ale nie uczuwa tego wewnętrznego zadowolenia, które towarzyszy zazwyczaj szczęśliwym podróżnikom po krainach wiedzy. Nie ma on wcale pozoru, ani szczęśliwego, ani zdrowego dziecka. Po powrocie z hederu, siaduje najczęściej w kącie izby na ziemi. Zrudziałą czapeczkę nasuwa na czoło (bo bardzo nabożnym będąc, nie chce ani przez chwilę zostać z odkrytą głową) i, albo w zamyśleniu głębokim rozgrzebuje pałeczką śmiecie, zalegające kąt izby, albo, trzymając na kolanach wielkiego burego kota, z wolna przesuwając po sierści jego małą,

chudą rękę, i wielkimi swemi, zapadłemi, smutnie błyszczącemi oczyma, spogląda w złotawą i przyjaźnie ku niemu mrugającą, źrenicę kocią. Stworzenie to, wzięte przez Cipę na ulicy małym, zjeżonem i z głodu mrącym, kocieciem, wyhodowane razem z dziećmi swjej właścicielki, posiada w rodzinie, oprócz Enocha, jedną jeszcze istotę, do której czuje żywą sympatyę.

Istotą tą jest najstarsza córka Szymszela, dziesięcioletnia Liba, wysmukła, szczupła i od pięciu już lat kaszląca. Liba ma twarz bladą i znamionującą chorobliwe usposobienie, oczy jasno szare, z wyrazem cierpiącym i cierpliwym, włosy lnianej barwy, gładkie, i z tyłu głowy splecione w krótki, sterczący warkoczyk. Uważana w domu za zupełnie dorosłą już osobę, Liba jest bardzo poważna i rozważna, zastępuje przy gospodarstwie matkę, po całych dniach w domu nieobecna, i piastuje młodsze rodzeństwo. Pali ona w piecu, chodzi po wodę do poblizkiej studni, strawę gotuje, raz w tydzień izbę zamiata, sto razy na dzień przechodzi najróżniejsze katusze z powodu Esterki i Mendelka, których ustawicznie szukać musi, wołać, strofować, albo pocieszać; a wszystkie funkcje te spełniając z niezmierną powagą i wytrwałością, obraca w chudych dłoniach druty wełnianych pończoch, czasem żółtawych, czasem czarnych, albo błękitnych, które robić nauczyła ją matka przed laty sześciu, które też od lat sześciu robi ona dla matki, siebie i rodzeństwa, a czasem, w porach trudnych przesileni finansowych, i na sprzedaż. Niekiedy Liba uczuwa się zmęczoną, siada na niskim stołeczku pod piecem i ręce trzymające pończochę składa na kolanach. Spoczynki te jednak trwają krótko. Najczęściej bowiem wtedy właśnie, dwuletniemu Lejzorkowi przychodzi ochota spacerowania po izbie. Spaceruje tedy, gwarząc głośno i energicznie machając rączkami, potem pada i wrzeszczy okropnie, a Liba wstaje, podnosi go z ziemi i kołysze w objęciach póty, dopóki dziecko nie uspokoi się i nie zaśmieje do pochylonej nad sobą twarzy siostry. Wtedy Liba składa je w kołysce i chce odejść, ale Lejzorek ponownie wydana z piersi nutą najżałośniejszego minoru objawia żądanie, aby pozostała przy nim. Kołyska stoi tuż przy łóżku Cipy, wysokiem samo przez się, a podwyższonem jeszcze dwiema leżąciami na niem pierzynami. Libie, jakkolwiek wysmukła jest względnie do wieku swego, na łóżko to wejść trudno. Gramoli się jednak na nie, siada na szczycie pierzyn, nogi opiera o brzeg kołyski, i robiąc pończochę swą, może już wygodnie z wysokiego stanowiska tego doglądać Lejzorka, który usypia, ale od chwili do chwili otwiera jeszcze oczy, patrząc, czy siostra jest przy nim. Nie wiem, czy te, otwierające się co chwila, senne oczy dziecięce, spostrzegają, jak wydatnie, a zarazem dziwnie jakoś, głowa poważnej dziewczynki z bladą twarzą, spuszczoną powieką i sterczącym z tyłu warkoczykiem, odbija od burakowego tła piętrzących się dokoła niej pierzyn i poduszek.

Takimi są dzieci Szymszela, lecz kim i jakim jest sam Szymszel?

Kim jest? W pytaniu tém zawierają się kwestye urodzenia i tego wyższego, lub niższego stanowiska, które człowiek zajmuje na drabinie hierarchii społecznej.

Co do urodzenia, nie umiem powiedzieć państwu dokładnie, kim był rodzic Szymszela. Woziwodą podobno, czy drwalem; jedni mi mówili tak, a drudzy inaczej, lecz wszyscy zgadzali się w twierdzeniu, że musiał być bardzo ubogim, skoro syn jego edukacyą swą naukową rozpoczął w Talmudorze, to jest w szkółce bezpłatnej. Co zaś do stopnia hierarchii, że wysokim on być musi, wniesć możemy z owych słów Szymszela samego, do żony powiedzianych: „ot, do czego ja doszedłem!” Człowiek, który wyrazi te wymawia z dumą i zadowoleniem, do czegoś ważnego i wysokiego dojść musiał. Szymszel posiada istotnie to stanowisko, które przywykliśmy wszyscy uważać za wysokie i szacunek, a nawet pewną wdzięczność ogółu budzące, jest on bowiem... Sprawię wam, czytelnicy, niespodziankę prawdziwą, gdy powiem, że Szymszel jest – uczonym.

Wiadomość ta nie stanie w sprzeczności najmniejszej z uprzedniem twierdzeniem mojem o tém, że krąg rzeczy i zjawisk, znanych Szymszelowi, jest nadzwyczaj ciasnym, jeżeli tylko zechcecie z pamięci i wyobraźni swjej wykluczyć w tej chwili wszystkie wiadome wam akademie, uniwersytety i wysokie instytuty wiedzy. Zakłady naukowe, z których Szymszel uczoność swą zaczerpnął, nazywają się: Talmudora, Eszybot i Bet-ha-Midrasz. Tworzą one stopnie pełnie tak, jak szkółka elementarna, gimnazjum i akademia. Nie wszyscy żydzi stopnie te przechodzą. Są tacy, którzy, dla braku zdolności, albo ochoty, zatrzymują się na pierwszym, albo na drugim. Szymszel nie zatrzymał się i

przeszedł wszystkie. Co więc, dosięgnawszy na pierwszym ze stopni tych lat wieku swego dziesięciu, na drugim trzynastu, na trzecim ośmnastu, a w ośmnastym roku ożeniwszy się, nie przestał jeszcze uczyć się. Chodził do Bet-Midraszu i uczył się, siadywał wieczorami i nocami całymi w izbie swój, przy stole stojącym u okna, i... uczył się.

Czego mianowicie uczył się? Religii swój, dziejów jój, niezmiernie licznych, a subtelnych jój odcieni, metafizyki w niej zawartej i przyozdabiających ją podań, przypowieści, axyomatów, legend, których część znaczna – czy uwierzycie państwo? – porównaną być może do pereł i kwiatów ludzkiej myśli. Szymszel więc jest – jak-by to powiedzieć? – teologiem-metafizykiem, a w części też i dziejznawcą, w tej części, która ściśle i bezpośrednio dotyczy dziejów ludu żydowskiego i wiary jego. Po-za tą dziedziną wiedzy, w której dosięgnął wysokiego bardzo stopnia biegłości, nie wie on o niczym a o niczym, i po za czynnością ustawicznego ćwiczenia się w swój specjalności, nie czyni on nic a nic. Absolutne zagłębianie się to w specjalności, dość oderwaną od potrzeb codziennego bytu, wprowadziło-by codzienny byt Szymszela i pięciorga jego dzieci w trudności nierozwikłane, gdyby nie ożenił się on był, mając lat ośmnaście, z Cipą, która miała lat sześćnaście; gizelką była w dużym sklepie korzennym, na handlu więc i manipulacjach jego znała się, a zostając żoną uczonego (dzięki swatowstwu kupcowej, u której służyła), uczyła się tak uszczęśliwioną i zaszczyconą tym małżeństwem, iż człowiekowi, który ją podobnie świętym losem obdarzył, oddała się z duszą i ciałem, z miłością tkliwą a nieśmiałą, ze czcią głęboką i niezmordowaną ochotą do poświęcenia się bezgranicznego.

Szymszel, syn woziwody, czy drwała, ubogi uczeń bezpłatnej szkoły, nie posiadający żadnego majątku, prócz dwustu złotych, zebranych dla niego drogą składki publicznej, uchodził przecież w oczach młodych dziewcząt i rodziców ich za partyą tak świetną, że gdy małżeństwo jego z Cipą ogłoszonym zostało, wszyscy jednomyślnie dziwili się szczęściu małej gizelki, której stara matka roznosiła po ulicach kosze z owocami, a siostry powychodziły za szewców, stolarzy i tym podobnych ludzi grubego rzemiosła i niskiego stanu. Szewcy ci i stolarze posiadali wprawdzie własne małe domki, duże warsztaty i stałe dochody. Szymszel nie miał ani domu, ani pracowni żadnej, ani dochodu żadnego; ale był uczonym i przytym, a może zatem, tak pięknym i delikatnym!...

Szymszel i Cipa tedy pobrali się, mając społem kapitału rubli trzydzieści. Oprócz tego, Cipa miała jeszcze wyprawę, czyli: trzy koszule, dwie pierzyny, dwie suknie i kaftan watowany jeden.

Nic więc nad to w porze pobrania się swego nie mieli, a jednak od lat już oto dwunastu żyją... Urodziło się im przez czas ten dziewięćdziesięć dzieci, z których czworo umarło, a pięćdziesięć istnieje; urodzi się pewno jeszcze z pięćdziesięć, z których ze troje umrze, a ze dwoje wyhoduje się, a jednak żyć będą... Dziwnym się to zapewne wyda państwu, a może i nieprawdopodobnym, aby rodzina jakaś, w tak świetne, szczególnie liczebne, rezultaty obfitująca, żyć mogła z kapitału, wynoszącego rubli trzydzieści. Ja sama dziwiłam się temu niezmiernie dopóty, dopóki z bliska nie poznałam Cipy.

Z pozoru jest to sobie mała żydóweczka, zupełnie, jak to mówią, prosta. Dwadzieścia ośm lat mając, wygląda na czterdzieści z górą. Nizka, na przód podana, z plecami, na których watowany kaftan garbi się i błyszczy, nie tyle od cennej materii, co od zgrzybiałego wieku, przesuwa się ona przez tłum drobnym, śpiesznym, a jednak nieśmiałym i jakby skradającym się, krokiem.

Wydaje się wiecznie skłopotaną czemś, ogłuszoną, ogłupioną, i tylko czarne oczy jój, ruszają się wciąż bardzo szybko wśród śniadój, zwiędłej twarzy, i rzucają często bardzo żywe błyski. W błyskach tych zdradza się ustawiczne a bystre szukanie i upatrywanie czegoś, a niekiedy niespokojne, czujne i namiętne pożądanie. Zdarza się też czasem, że oczy Cipy przybierają wyraz złośliwy i doskonale wtedy harmonizują z czołem niskim, okrytym od gęstych brwi aż po kraniec czarnej peruki niezliczoną ilością drobnych zmarszczek.

Raczie jednak państwo nie żartować z tej małej, prostej żydówki, bardzo nieestetycznie i niemądrze wyglądającej. Dokonała ona rzeczy pewnej, wcale ważnej, rozwiązała w praktyce pewną kwestyą społeczną, którą świat cały uznał za niezmiernie trudną do rozwiązania, mianowicie kwestyą równouprawnienia kobiety wobec prac zarobkowych. Cipa doprowadziła rozwiązanie kwestyi tej

do ideału, albowiem zarobkiem swym utrzymuje od lat dwunastu siebie, męża i pięcioro dzieci, we wszystkich przedsiębiorstwach swych, do celu tego prowadzących, wspierając się na kapitale, wynoszącym rubli trzydzieści.

Za owe rubli trzydzieści, reprezentujące podwalinę rodzinnego jój bytu, Cipa założyła sklepik korzenny, mając w dodatku, co prawda, przyobiecany sobie na równą sumę kredyt w sklepie, w którym pełniła przedtém funkcją gizelki. Najważniejszym zadaniem dla wszelkiego przedsiębiorstwa, mającego na celu zarobek, jest znalezienie klienteli. Cipa, od pierwszego dnia założenia sklepiku, zaczęła szukać klienteli, i po dziś dzień jój szuka, nie dlatego, aby znaleźć jój nie mogła, ale że, znalazwszy, wnet ją traci i szukać musi nowój. Tracenie to staje się dla przyczyn rozlicznych, pomiędzy któremi nie najmniejszą rolę grają pewne tajemnicze czynności, którym Cipa oddaje się wieczorami, po zamknięciu sklepu, w tegoż sklepu kąciku ciasnym, pomiędzy szafą, kontoarem a ścianą. Wtedy z kącika tego odzywają się szczególne szelesty jakieś, odklejania niby czegoś i ponownego zaklejania, przesypywania i przelewania.

Jakkolwiek przecież czynności, którym w chwilach owych oddaje się właścicielka sklepu, tajemniczo wyglądają przy mdłym świetle lampki, palącój się na ziemi za kontoarem, przesadą było-by przypisywać im tragiczne znaczenie. Cipa nie należy do żadnego spisku żydów, ku szkodzie, lub zniszczeniu chrześcijańskiej ludności skierowanego; nie przygotowuje w skrytości i tajemnicy żadnych zgubnych działań przeciw swój Meropii, bo ręczę za to państwu, że Meropii żadnej, która-by wyłącznie jój własnością była, nie posiada, a nawet wątpię, aby brzmienie wyrazu tego kiedykolwiek w życiu swém słyszała. Działa ona zupełnie na własną rękę, bez żadnej solidarności z resztą swego narodu. Meropią jój jest zbiorowa istota, nosząca imię: kupującój publiczności; a możebnymi władzami, które ją skłaniają do owych różnych przysypywań i przelewań, czyniących dobre gatunki towarów miernymi, a mierne szkaradnymi, są: mąż uczony, dzieci pięcioro i trzydzieści rubli podstawowego w przedsięwzięciu kapitału. Meropia Cipy, kupująca publiczność, posiada snadź smak i węch wytrawny, gdyż członkowie jój, zaledwie zawarłszy znajomość z jój towarami, wnet nabywać je przestają (po mnogich w dodatku, a niestety słusznych, wyrzutach, krzykach i łajaniach), tak, że wyszukiwanie coraz nowój klienteli stanowi dla Cipy cel, nigdy nieustających starań i zabiegów. Stara się téż i zabiega w sposoby najróżniejsze: jękliwemi prośbami, całowaniem rąk, oddawaniem każdemu, kto zażąda, wszelkich zażądanych przysług. Ażeby zasłużyć się publiczności i zdobyć od czasu do czasu jakiś grosz naddatkowy, staje się naprzemian: posłańcem publicznym, listonoszem, stręczycielką sług, pośredniczką między pożyczającymi a chcącymi pożyczać, sprzedającymi a chcącymi nabywać. W sklepie siaduje dorywczo tylko, od czasu do czasu; wyręcza ją tam matka, z siostr która, sąsiadka jaka; ona zaś sama całymi dniami biega ze wschodów na wschody, dźwiga pod ramieniem ciężkie zawinięcia, nosi na plecach stosy starój odzieży, staje pokornie u progów różnych, z dwoma koszami w rękach, z których jeden zawiera bakalie, a drugi herbatę i butelki z winem, kłóci się z kucharkami i stróżami domów, którzy ją do dobroczyńców jój puszczać nie chcą, przekupuje surowość ich parą fig, albo garsteczką orzechów; niekiedy wpada w niecierpliwość, i z osobami płci swojej, które wytwarzają dla niej uciążliwą konkurencją, zawodzi na ulicach takie kłótnie, iż zbliżają się ku niej stróżowie porządku publicznego i do ustąpienia z placu walki skłaniają ją siłą pięści. Raz nawet w ręku tych grubiańskich przedstawicieli wielkiej idei pozostał spory kawał aksamitnego niegdyś kołnierza, zdobiącego watowany jój kaftan.

Cipa, po zginionój w ten sposób świetności stroju swego, zapłakała rzewnymi łzami... Chwila ta rozczulenia była przecież u niej całkiem wyjątkową. W ogólności nie skarży się nigdy na nic, a jeśli czasem ktoś, spotkawszy okiem żałośliwe spójrzenie jój, zapyta ją z większym lub mniejszym współczuciem:

– Cóż, Cipo, czy wielka tam u was bięda?

Nigdy nawet na pytanie to nie odpowiada twierdząco, tylko mówi:

– Nu! jak Pan Bóg chce, tak jest.

Zdarzają się i tacy, którzy, znając nieco bliżej domowe stosunki Cipy, a widząc ciemną, pomarszczoną twarz jój, wilgotną nieraz od potu zmęczenia i wstrząsaną pomimowolnymi, nerwowymi drganiami, mawiają do niej:

– A cóż bo ten twój mąż przez całe życie robi? Dlaczego on ci nie pomaga?

Wtedy z twarzy Cipy znika wyraz znużenia, a zastępuje go coś nakształt gniewu.

– On ma swoją robotę – odpowiada mrukliwie – on nie może pomagać mi w handlu.

– Jesteś więc, Cipo, bardzo nieszczęśliwą, mając takiego męża niezdare.

Słyszac to, Cipa podnosi głowę.

– Żebym ja miała dziesięć córek, to ja-bym Pana Boga prosiła, ażeby im wszystkim dał takie szczęście, jak moje.

Przy słowach tych, oczy jój promienieją i śmieją się, rozrzewniony uśmiech okrąża zwiędłe usta, a rumieniec wzruszenia, czy zawstyżenia, opływa pomarszczono czoło aż po brzeg czarny peruki...

Ba! sztuki dokazał-by ten, kto-by uzdolnił Szymszela do pomagania Cipie! W pierwszych latach małżeństwa swego, Cipa, sama nie znając jeszcze całej rozciągłości, jakiej dosięgła uczoność jój małżonka, pozostawiała go w sklepiku do pilnowania i sprzedawania towarów, w czasie jój nieobecności. Pilnować pilnował i nawet bardzo sumiennie, bo, jak kamień, nieporuszony siedział za kontoarem, trzymając głowę w obu dłoniach i dumając nad tém, jak-by się dały pogodzić dwa, znajdujące się w Misnie, przeciwne sobie twierdzenia, rabbi Gamaliela i rabbi Eliezera, albo, jakie wnioski wyprowadzić należy z pewnego powiedzenia rabbi Papy, z którego-to zresztą powiedzenia wyprowadzonych już zostało przez różnych komentatorów wniosków sto i dziesięć. Szymszel przecież usiłował wywieźć z niego wniosek sto jedenasty, i dumając nad nim, pilnował powierzonego sobie sklepiku, bez żadnej przykrości, ni przeszkody. Ale, gdy przyszło do drugiej części zleconej mu roboty, czyli do sprzedawania, rzecz zaczynała być wielce trudną dlatego, że nie mogła wesprzeć się na rozmowie, gdyż Szymszel nie rozumiał wcale języka, w którym przemawiali do niego kupujący. Parę razy jednak zdarzyło się, iż, znalazłszy na prędce tłumacza, za pośrednictwem jego rozmówił się z przybyłymi, i żądane towary im sprzedał, lecz, gdy Cipa, po powrocie do domu zbadała sposób, w jaki sprzedaż ta dokonana została, zmieniała się w posąg rozpaczny nieruchomy, niemy, i tylko głową żałośnie kiwający. Pokazało się, że Szymszel, ważąc zbywany towar, odważył go półtora razy więcej, niż należało (udawał bowiem tylko, że zna się na wadze, w gruncie zaś nic a nic mechanizmu jój nie rozumiał), a zdając resztę z podanych sobie pieniędzy, przeliczył się na swą niekorzyść o całe dwadzieścia groszy, (na wartości monety znał się tyle, co i na wadze). Nie wiem dlaczego kupujący goj, tym razem spostrzegając wybornie omyłkę Szymszela, nie sprostował jój, lecz przeciwnie, przynajspokojniej z niej skorzystał. Stało się to zapewne dlatego, iż więcej, niż w świadectwo oczu własnych, wierzył on w to, że żyd ani odważyć, ani przeliczyć na niekorzyść swoją nie może, i dlatego jeszcze, że z Meropii, czyli z ofiar, wyzyskiwaniu poddanych, korzystać lubią nietylko żydzi sami, ale także i niektórzy gojowie... Dość, że Cipa, wyręczywszy się parę razy przez męża w sklepikowych czynnościach, wyręczać się nim nadal poprzestała. Ręką swą zgrubiała i ciemną powiodła z wolna po czarnych jego włosach, popatrzała mu chwilę w twarz, uśmiechając się z nieśmiałą czułością, i powiedziała:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.